strój (ciekawy jestem, co powie mój szef, gdy przyjdę tak ubrany do pracy). Po dojściu do zamku okazuje się, że zamkiem jest on tylko z nazwy. Na szczycie stoi działo, pamiętające czasy jednej z ostatnich wojen. Jest jeszcze dziwna wieża, no i panorama Dakaru od strony morza.

Wracamy na stare miasto. Tam jest znacznie chłodniej i przyjemniej. Spacerujemy sobie w dalszym ciągu po zacienionych uliczkach, podziwiając lokalne arcydzieła wystawione na sprzedaż. Odwiedzamy także muzeum niewolnictwa. Świadectwo niechlubnej części historii tego miejsca – w okresie kolonialnym służyło jako miejsce wysyłkowe niewolników. Muzeum zlokalizowane jest w jednym z miejsc, w których niewolnicy czekali na wysyłkę. Smutne i pełne refleksji – ku pamięci.

Tutaj czas bardzo szybko nam ucieka więc o oznaczonej godzinie musimy śpieszyć się na prom. W Dakarze robimy sobie jeszcze krótką wycieczkę do nowoczesnej dzielnicy zlokalizowanej na Cap Manuel. Tutaj próbujemy odnaleźć (wśród wielu innych) polską ambasadę – niestety – bezskutecznie. Po dniu pełnym wrażeń postanawiamy wrócić do hotelu. Ale postanowić, a zrealizować – w Dakarze to czynności bardzo odległe. Przez blisko 4 godziny próbujemy pokonać dystans dzielący centrum od naszego hotelu. Gdy w końcu udaje się nam dotrzeć na miejsce – jest już późny wieczór.

Rano ktoś nerwowo puka do drzwi. Po jakimś czasie udaje mi się podnieść z łóżka, a tu zdenerwowany chłopiec każe mi iść ze sobą, mówiąc, że jest jakiś problem z samochodem. Szybko się ubieram i biegiem do auta, gdzie został prawie cały nasz dobytek. Na szczęście – okazuje się, że właściciel placu, na którym postawiliśmy samochód, narobił rabanu, ale parę franków rozwiązuje problem. Mimo, że jesteśmy jeszcze zmęczeni i planowaliśmy dłużej pospać, zaczynamy się zbierać. Śniadanie, pakowanie samochodu i w drogę. Wyjazd z Dakaru nie jest prostą sprawą. Masa samochodów i średnia prędkość koło 10 km/h. Po 2 godzinach udaje się nam opuścić stolicę.

Nie mamy na dzień dzisiejszy żadnych specjalnych planów. Jedyne co zamierzamy zrobić, to dotrzeć do jakiejkolwiek nadmorskiej mieściny, zakwaterować się

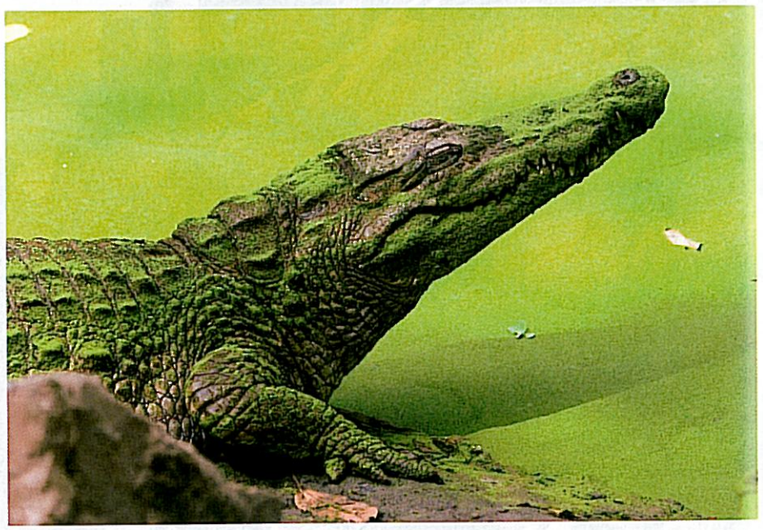

i odpocząć. Wybór padł na Popenguine. Wjeżdżamy do wioski, na której końcu, prawie przy samej plaży znajdujemy sympatycznie wyglądający kemping. Wynajmujemy domek i po rozpakowaniu rzeczy zabieramy się za „Dyskotekę". Gosia zabiera się za czyszczenie jej wnętrza, a ja funduję autu mały przegląd – przede wszystkim kontroluję wszystkie płyny, a także elementy zawieszenia oraz napędu. Większość czasu jednak spędzam na nalewaniu oleju do kul przednich oraz rozmyślaniu, co dopadło przedni most.

Rankiem ruszyliśmy do Bandia Reserve – sztucznie utworzonego parku, w którym dzikie zwierzęta żyją w warunkach zbliżonych do naturalnych. Park jest otoczony ogrodzeniem, a wewnątrz wytyczonych jest wiele dróg, po których poruszają się samochody terenowe z turystami. My wynajęliśmy przewodnika, z którym przejechaliśmy cały park „Dyskoteką". W parku żyje zaledwie około 400 zwierząt, 15 gatunków. Największą atrakcją jest para nosorożców, nie wiedzieć dlaczego przez Gosię nazwaną Dinozaurami. Zbliżyliśmy się do nich na odległość ok. 15 m. Poza tym mamy okazję zobaczyć żyrafy, krokodyle, małpy (zielone i czerwone – tak je nazywał przewodnik), kilka gatunków antylop, dzikie świnie, żółwie i trochę ptactwa. Dziwne, bo jak na początku opowiadał przewodnik, w parku nie ma zwierząt zjadających inne zwierzęta – widocznie mają krokodyle, które przeszły na wegetarianizm. W parku rośnie również dość specyficzny baobab, będący

szczególnym cmentarzem lokalnych muzyków, czy raczej trubadurów, zwanych Griotami. Byli oni chowani w drzewie, ponieważ wg lokalnych wierzeń pochowanie Griota w ziemi powodowało brak wystarczającej ilości opadów deszczu. W rejonie parku znajduje się jeszcze jedna ciekawostka – las baobabów. Całość wygląda nieco śmiesznie, chociaż same drzewa są potężne i niezwykle dostojne. Las ten nie przypomina naszych, polskich lasów – drzewa rosną rzadko, a między nimi tylko kępki trawy. Poza tym – o tej porze roku baobaby pozbawione są już liści, przez co całość wygląda raczej koszmarnie.

Nazajutrz kierujemy się na Kaolack, gdzie podobno jest drugi co do wielkości kryty bazar w Afryce. Nie udaje się nam go

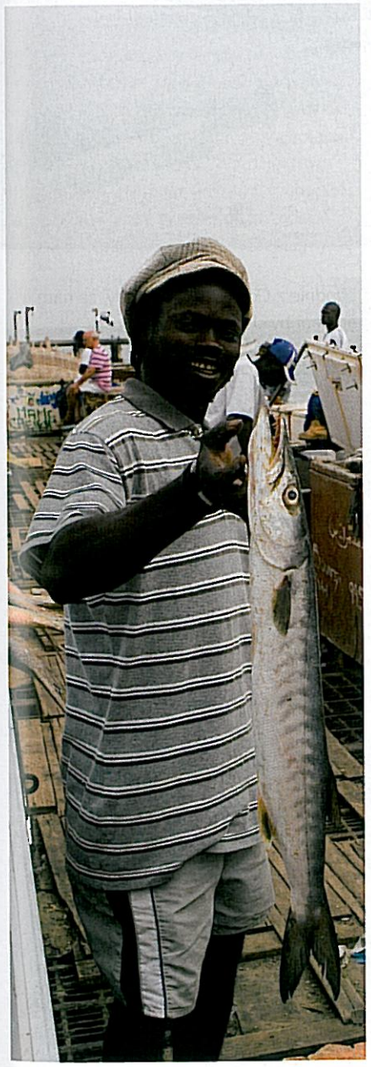

odnaleźć, ale w drodze do miasta mijamy potężny meczet. Jest odmienny architektonicznie od tego co widzieliśmy w Afryce do tej pory. Przypomina raczej tureckie meczety. Jest również opuszczony i zaniedbany. W przewodniku czytamy, że fundatorem był Saddam Hussein. Zamiast krytego bazaru znajdujemy potężny plac handlowy, który ani wyglądem ani atmosferą nie zachęca do zatrzymania się. Mijamy go więc i dojeżdżamy do posterunku policji, kierując się już na Gambię. Tutaj zamiast kontroli bierzemy policjanta na stopa i podwozimy go do jego miejscowości. Droga znowu jest fatalna. Niemniej – po jakimś czasie walki z drogą i jeździe po wyschniętym jeziorze docieramy do Tabakouta, skąd kierujemy się na Park Narodowy Rzeki Saloum i na miejscowość Missirah.

W Missirah trafiamy na młodego przewodnika, który oferuje nam krótką wycieczkę po lesie. Musimy jednak wrócić się do punktu parkowego, aby uiścić opłaty. W dobrej wierze opłacamy przewodnika i bilety. I zaczyna się kolejny problem. Nasz przewodnik nie ma pojęcia o miejscu, w którym jesteśmy, a jedyne co pokazuje nam po drodze to kolonia krabów. Zabiera nas również do podobnego rezerwatu dzikich zwierząt, jak ten, który zwiedziliśmy pod Dakarem. Ale zwiedzenie rezerwatu wiąże się z uiszczeniem kolejnych (wcale niemałych) opłat. Zdegustowani wracamy i stawiamy naszemu przewodnikowi ultimatum. Albo nam pokaże obiecane ptaki i małpy, albo rezygnujemy z jego usług (zresztą już opłaconych – więc co to za ultimatum). Wiezie nas w jeszcze jedno miejsce, gdzie my już wycofujemy się. Zostawiamy młodzieńca w wiosce i zdegustowani ruszamy do Gambii, z nadzieją, że tam będzie lepiej.

Pierwsze problemy pojawiają się już po przekroczeniu senegalskiej granicy. Najpierw gambijski celnik robi łaskę, że nas przyjmuje i stwarza same problemy, następnie czekamy długo w kolejce do funkcjonariusza policji, a potem „Dyskoteka" zostaje poddana drobiazgowej kontroli przez policję. Na zakończenie granicznej przygody, policjant, który rozkopał nasz samochód, żąda opłaty – 50 euro, za wstawienie pieczątki do paszportu. Zdenerwowani ruszamy dalej. Pierwszy patrol policji na drodze próbuje od nas wyłudzić prezenty. Powiedzieliśmy, że nic nie mamy, więc dali nam spokój, ale poinformowali, że musimy się wrócić po bilety na prom. Wracamy więc do punktu sprzedaży biletów, gdzie bileterka z łaską nam sprzedaje bilety. Gambia coraz mniej się nam podoba.

Przed 18.00 docieramy do promu. Próbujemy ustawić się w kolejce, ale zostajemy napadnięci przez grupę cwaniaczków. W końcu z opresji ratuje nas policjant, który karze wyjechać z kolejki i zaparkować pod komisariatem. Tak też zrobiliśmy. Tyle, że po kilku godzinach stania nic się nie zmienia. W końcu inny z policjantów, imieniem Jusufa, podchodzi do nas i informuje, że jak będziemy tu stać, to w ogóle nie wjedziemy na prom. Po krótkiej wymianie zdań oferuje nam pomoc i rusza w kierunku ochrony. Po jego pierwszej interwencji zostajemy chamsko potraktowani przez ochronę, ale druga interwencja umożliwia nam wjazd na teren portu. Przy czym jest już po północy. Za bramą portową czeka nas kolejna niespodzianka – musimy swoje odstać – na prom udaje się nam wjechać dopiero po 5 rano. A z promu zjeżdżamy kilka minut po godz. 6. W sumie – 12 godzin czekania.

Po drugiej stronie rzeki Gambia jedziemy prosto do Bijilo Beach Hotel – jeden wielki luksus. Kwaterujemy się, robimy małe przepierki, bierzemy kąpiel i znowu jednomyślnie stwierdzamy, że właściwie zmęczenie nam już przeszło. Wybieramy się więc na śniadanie serwowane w hotelowym bufecie, gdzie orientujemy się, że hotel jest okupowany przez emerytowanych Skandynawów – my jesteśmy chyba najmłodszymi lokatorami. Dzwonimy więc do Jusufy i umawiamy się na spotkanie pod wejściem do rezerwatu Abuko. Oczywiście – tak wspólnie nawigowaliśmy z Gosią, że nie trafiliśmy, ale „Dyskoteka" jest samochodem rozpoznawalnym, więc nasz przewodnik dogonił nas innym samochodem.

Abuko jest małym parkiem leśnym wciśniętym między zabudowania aglomeracji Banjul – Serrekunda. Jest małym parkiem, ale bardzo ciekawym – zamieszkiwanym przez dzikie ptactwo, krokodyle i wszechobecne małpiszony. Spacer po parku do złudzenia przypomina wyprawę w dżunglę. Zabawa przednia. W centrum parku znajduje się mały punkt